ROZMAITOŚCI.

Dnia 4 lipca, Nr 27. roku 1846.

I L A.

W wielkim hotelu hrabiny Dorsay w Londynie, panował od samego rana ruch niezwykły, a skrzętne uwijanie się służących, dawało do poznania, iż spaniały festyn odbędzie się jeszcze tego wieczora. Modniarki i wszystkie owe czarodziejki sprawiające cuda toalety, zwidzały nieustannie jedna po drugiéj pokoje hrabiny. Sama zaś hrabina, spoczywając swobodnie na rozkosznéj sofie swego wytwornie urządzonego buduaru, czytała właśnie bilet następujący:

»Chcąc odpowiedzieć życzeniom twoim, kochana hrabino, starałem się o to, coś mi poleciła, i znalazłem wreszcie osobę, mającą około lat czterdziestu, która może mieć nadzór nad ludźmi pani. Opowiadano mi o niéj wiele dobrego; ma ona przy sobie piętnastoletnią córkę bardzo zdatną, możesz ją pani za pokojówkę użyć.

Ztąd raczysz wnieść pani iż zajmuję się z całéj duszy domowémi sprawunkami, i chcę panią przekonać, iż mogę być dobrym małżonkiem.

Całuję rączki twoje, piękna hrabino; najdaléj za godzinę, będę u stóp pani.

Lord Astolf de Murphy.«

Hrabina złożyła list starannie i zamknęła go do małéj, eleganckiéj skrzyneczki, w któréj już więcéj podobnych listów się znajdowało.

»Spiesz się, spiesz, Eudoksyjo;« — ozwała się do modniarki, która właśnie obecną była — »sprobujmy coprędzéj suknie, gdyż za godzinę muszę być już ubraną.«

Wzięto się więc do próbowania nowych, kosztownémi koronkami obszywanych sukień, które hrabina na szczęście za bardzo dobrze zrobione uznała.

»Będziesz pani w nich prześlicznie wyglądała!« rzekła Eudoksyja. »Przyszły małżonek pani nie pojmie się dzisiaj w wieczór z radości; bo téż on się istotnie z królową wdzięków żeni.«

»Dziecinnaś!« odpowiedziała pani Dorsay. »Swoje tylko dzieło chwalisz.«

»Niech się pani z łaski swojéj przejrzy w zwierciedle, a obaczysz sama, czy ja tylko swoje dzieło chwalę.«

»Gadaj sobie co chcesz; już ja nigdy takiéj toalety mieć nie będę, jaką pani d'Albe na ostatnim balu u ambasadora wszystkich zdziwiła.«

Roztropna modniarka dostrzegła, iż te słowa ukryte pytanie zawierały, i natychmiast téż odpowiedziała:

»O, dziś w wieczór będziesz pani nierównie piękniéj od pani d'Albe wyglądała.«

Po wyrazie, jaki nato rysy twarzy hrabiny przybrały, można było poznać, iż powyższa odpowiedź wielką sprawiła jéj przyjemność.

»Dajmy temu pokój!« rzekła wreszcie hrabina. »Oto jest suknia Ili, która mi się wcale nie podoba; zrobiłaś ją, jakby na dorosłą już panienkę, a przecież Ila jest jeszcze dziecięciem.«

»Ale zaręczam panią hrabinę, iż córka pani codziennie więcéj się rozwija i już prawie na dorosłą panienkę wygląda; należałoby może mieć wzgląd na to. Panna Ila zapewne już nie o wiele więcéj podrośnie, i będzie kiedyś maleńką mężateczką, która w niczém matce swéj nie dorówna.«

»Jaka ty dziwną czasem bywasz, moja Eudoksyjo;« — odrzekła żywo hrabina — »wiesz przecież, iż Ila ma dopiéro lat dziesięć, a w tym wieku nie można nikogo osądzić, jakim on późniéj będzie. Nie chcę, aby nosiła ciasne suknie, któreby jéj dolegały, i wzrostowi przeszkadzać mogły.«

Po wyrzeczeniu tych słów przez hrabinę, dał się słyszéć jakiś miluchny głos przeze drzwi: »Mamo, czy mogę moję nową suknię spróbować?« — i w tejże chwili dziewczynka, o któréj dopiéroco mówiono, zrzuciła już sukienkę, co miała wprzódy na sobie, i zaczęła się w nową ubiérać, przyczém odsłonił się widok dziwnie kształtnego staniku i nadzwyczajnie zgrabnéj budowy ciała. Byłoto dzięcię, zachwycające swoją pięknością; powodem zaś wątpliwosci co do jéj wieku, były głównie jéj pałające spojrzenia, jéj tkliwy uśmiéch, jéj zadumczywe oko, jakotéż owe namiętne całunki, jakiemi się niekiedy z matką, a ososobliwie z swoją ulubioną wywiórką pieściła.

Wiadomo jest, iż młode dziewczęta, zanim mężczyznę kochać zaczną, wprzódy do jakiegoś obojętnego na pozór przedmiotu się przywiązują. Przecież widząc jéj żywy, niestale przemykujący się wzrok, jéj uśmiéch szczéroduszny, niespokojną ruchliwość jéj ciała, rzutkość i pospieszność jéj chodu, trzeba było powiedziéć: »Jestto jeszcze dzięcię!« Zresztą dla wszystkich, którzy ją znali i słyszeli, była ona zagadką, gdyż jéj odpowiedzi były zawsze żywe i celowały dowcipem, a gdyby jéj matka nieraz słowami »Małym dziewczętom nic do tego« nie była przerywała, możnaby je nawet było miéć za głęboko pomyślane.

Pojętna modniarka zrozumiała, jaki błąd w zrobionéj dla Ili sukni popełniła, i przyrzekła natychmiast suknię poprawić i za kilka godzin taką jak sobie hrabina życzy, przysłać.

Po odejściu modniarki zajęła się hrabina wydawaniem rozkazów dotyczących dzisiejszéj zabawy wieczornéj. Oczekiwała ona rodziny, w którą wkrótce wejść miała, gdyż jéj zaślubienie z lordem Astolfem de Murphy było już stanowczo umówione. Narzeczony jéj nie miał wprawdzie znacznego majątku, lecz jego młodzieńcza postać, jego towarzyskie talenta, wzbudziły podziwienie niejednéj lady. Dał on się ująć pięknością hrabiny i jéj zagranicznym tytułem, gdyż Londyn, w którym ona właśnie teraz bawiła, nie był jéj miejscem rodzinném. Byłoto dostatecznym powodem, aby młodemu lordowi głowę zawrócić.

Chociaż hrabina z córką do Londynu przyjechała, była ona przecież z pozoru jeszcze bardzo młodą; ci którzy jéj dwadzieścia pięć lat przypisywali, już nader surowo ją sądzili.

Osoby, które ją podczas jéj piérwszego małżeństwa znały, mówiły o niéj, iż poszła za mąż raczéj z posłuszeństwa dla rodziców niż z miłości do hrabiego, człowieka w podeszłym już wieku będącego, którego téż nigdy nie kochała. Uzyskawszy sobie przez swoję piękność powszechne uwielbienie, chciała także sławę surowéj cnoty pozyskać. Przy śmierci swego męża miała ona dopiéro lat ośmnaście, i usunęła się zupełnie od świata.

Ta samotność, trwająca przez lat kilka, sprawiła w pięknym świecie wielkie wrażenie i jeszcze bardziéj sławę jéj rozgłosiła. Nareszcie jednak uprzykrzyło się hrabinie to samotnicze życie, zaczęła pragnąć czegoś więcéj, niż być piękną dla saméj siebie i przeglądać się z kolei we wszystkich źwierciadłach swego odludnego mieszkania; bo chociaż te źwierciadła nie były ślepémi dla tyla wdzięków, przecież były one nieme, i nie mogły wymówić, co zawsze dla ucha każdéj piękności najprzyjemniejszą jest muzyką: »O nieba, jakże ona jest piękna!«

Zatém wróciła hrabina znowu w towarzystwo, znalazła nowych wielbicieli, i to więcéj jeszcze, niżli przed swojém owdowieniem. Wszelako teraz zdawało się, iż ją tylko sama miłość ku jéj córce zajmuje; byłato istotnie tkliwa macierzyńska miłość *à la Sévigné,* jednakże z cokolwiek większém wyrafinowaniem. Nadzwyczajnie czuła staranność, jaką dla swojéj córeczki okazywała, była dla niéj saméjże nowym

urokiem, a jéj żądza pochwał i hołdów, zyskiwała wielce na spółtowarzystwie małéj Ili, którą wszędzie miano za doskonały wzór piękności. Jakoż kochała téż hrabina swoję córeczkę, oile jéj własna piękność przeto wydatniejszą się stawała. Ila była dla niéj klejnotem, który podobnie jak rubin przy dyjamencie, jéj własny blask powiększał; byłato maleńka lalka, którą natura jakby umyślnie dla niéj utworzyła.

Ila miała tak nadzwyczajnie delikatną budowę ciała, iż mając już trzy lata, mniemano powszechnie że ma dopiéro rok jeden, a mając lat sześć, nie wyglądała jak na trzy lata. Pani Dorsay nie omieszkała korzystać z téj dziwaczności natury i sama siebie odmładzała, udając swoję córkę za młodszą niżli była w istocie. Ztądtéż, aby ją jaknajdłużéj w dziecinnéj pozostawić nieświadomości i nie przyspieszać rozwinięcia się jéj umysłu, obchodziła się z nią jak z dziecięciem.

Biédna hrabina przestraszyła się zapewne już na tę myśl samę, iż z każdym rokiem, który jéj Ilę piękniejszą czynił, jéj saméj na piękności ubywało, że jeżeli sama zawczasu na korzyść téj dziedziczki piękności dobrowolnie berła zrzec się nie zechce, ona ją przemocą z tronu złoży, i że wreszcie, skoro Ila niebawem tych lat dojdzie, w których panienki za mąż iść mogą, pani hrabina nie dla siebie saméj, lecz dla pięknych oczu swéj córki, będzie musiała dać się w rękę całować. — Na szczęście nie pochodziły te obawy ze strony samejże Ili, gdyż ona była tak małą, tak dziecinną, iż wszyscy bez podejrzenia, nie więcéj nad dziesięć lat jéj liczyli.

Ztémwszystkiém, mimo wszelkiéj przezorności, z jaką hrabina nawet całą służbę swoję co roku odmieniała, byłby przecież nareszcie prawdziwy wiek hrabiny, jakotéż jéj córki, na jaw wyszedł. Dlatego powzięła ona zamiar wyjechania do Londynu, i zamieszkała tam w jednym z najpiękniejszych pałaców na przedmieściu Westend.

Utrzymywała na wielką stopę dóm, który wkrótce uwagę na siebie zwrócił; jéj konie i powozy szły o piérwszeństwo z najpyszniejszémi uprzęgami w Hydepark, a świetna jéj toaleta i świéża jeszcze piękność, budziły zazdrość we wszystkich damach londyńskiego towarzystwa.

Razu jednego, na przejazdzce, zabrała nasza piękna wdówka znajomość z lordem Astolfem de Murphy, przystojnym młodym mężczyzną bardzo łagodnego charakteru, który ją widocznie przed innémi damami wyszczególniał. Zrazu nie pragnął on nic więcéj, jak tylko przypodobać się hrabinie, lecz ta, wierna przyjętym raz zasadom, opiérała się wszelkim ponętom, przeco nie pozostało młodemu lordowi innego środka do rozkochania w sobie pięknéj wdowy, jak tylko: prosić ją o jéj rękę.

Stadło to łączyło w sobie wszystko, co tylko próżności pochlebiać może. Hrabina była piękną, uchodziła za młodą, i miała znaczny majątek. Lord Astolf był przystojnym, uchodził za światłego, i był rzeczywiście młodym, może nawet zbyt młodym dla wdowy z córką.

Trudno powiedziéć czy lord Astolf kochał istotnie hrabinę; w najlepszym razie, kochał on ją tylko dla jéj piękności, gdyż rozumu miała hrabina właśnie tylko tyle, ile piękna kobiéta koniecznie miéć powinna. Nieraz już lord Astolf sam siebie pytał, dla czego w towarzystwie hrabiny nie upływają mu chwile rączéj niżli gdzieindziéj. Właściwie wiązała go do domu hrabiny jéj mała córeczka Ila. Ta myśl, iż będzie ojcem Ili, jakkolwiek komu innemu może nie zbyt przyjemna, dla niego była najżywszą radością.

Już go wielokrotnie zeszła była hrabina w chwili, kiedy on w tę małą istotę z taką wpatrywał się uwagą, iż byłaby się mogła sama stać zazdrosną, gdyby Ila nie była jeszcze — dziecięciem.

»Będę nauczycielem Ili,« — mawiał lord Astolf często do siebie — »rozwinę jéj rzadkie umysłowe zdolności; wykształcę jéj duszę i serce.« Młody lord, chociaż z natury poważny i spokojny, bawił się i pustował z dziewczynką, jakgdyby ona

siostrą jego była, a Ila też przywiązała się do niego, jakgdyby on był jéj bratem.

Co się tyczé hrabiny, ta prawdziwie lorda kochała. A to témbardziéj, iż byłto piérwszy wypadek, że ona dla kogoś, co się oświadczał być wielbicielem jéj wdzięków, szczérą miłość w sobie uczuła.

Zaledwie pani Dorsay swoję poranną toaletę skończyła, oznajmiono młodego lorda. Jéj piękne lica ubarwiły się żywszym rumieńcem, i raz jeszcze przelotnie przejrzała się w źwierciedle.

Lord Astolf wszedł, ucałował rękę hrabinie i zapewnił ją, iż jest piękniejszą jeszcze niż wczoraj była.

Po kilku słowach małoznaczącéj rozmowy, zapytał lord o Ilę.

Pani Dorsay chciała ją kazać przywołać, gdy wtém nadszedł służący z oznajmieniem, iż jakaś pani życzy sobie z nią się widzieć.

»Jestto bez wątpienia osoba, którą hrabinie poleciłem,« — rzekł lord — »zostawiam tedy panią z nią sam na sam, i pójdę tymczasem do ogrodu poszukać Ilę.«

»Dla czegoż pan zostać nie chcesz?« zapytała hrabina. »Należy panu przyzwyczajać się do spraw domowych.«

»Jeźli hrabinie nie przeszkadzam, i owszem, pozostanę.«

Pani Dorsay powitała nowoprzybyłą, lecz zaledwie obie na siebie spojrzały, hrabina okropnie pobladła.

Przeciwnie nowoprzybyła zdawała się być bardzo ucieszoną i zawołała z radością:

»Co za szczęście! Paniąż hrabinę-to widzę! Matkę mojéj kochanéj Ili! O jakże mocno się cieszę, iż ujrzę to lube dziécię, gdyż jato je wykarmiłam,« — dodała zwracając się do Adolfa — »jato byłam jéj mamką! Jakże ładną ona teraz być musi! Słyszałam tu o jakiémś weselu; zapewneto ona za mąż idzie! O, co za szczęście! Doczekam się jeszcze, iż będę jéj dziatki kołysała.«

To mówiąc, poczciwa kobiécina rozpłakała się z radości. Pani Dorsay usiłowała kilkokrotnie napróżno wstrzymać bystry prąd jéj serdecznego wylania uczuć — nic nie pomogło. Lord Astolf, któremu ani jedno słowo nie uszło, chciał owszem jeszcze dłużéj ją słuchać.

»Zapewneto radość w ten błąd panią wprowadza;« — rzekł on do byłéj mamki swéj małéj przyjaciółki — »Ila nie jest jeszcze w tym wieku, aby mogła pójść za mąż.«

»Nie, nie!« zawołała hrabina. »Mylisz się, mylisz, moja kochana; zapomniałaś już w jakim wieku jest Ila.«

»Zapomniałam! Mój Boże! Jakżebym to mogła zapomniéć. Wiém to dokładnie, Ila kończy w tym miesiącu rok piętnasty; a najlepszym tego dowodem jest moja własna córka Ludwika, jéj mléczna siostra, która także szesnasty rok zaczyna. Przyprowadzę ją tutaj! Och, jakże ona cieszyć się będzie, iż obaczy swoję kochaną siostrę mléczną.«

Pani hrabina byłaby chętnie udusiła tę kobiétę, która jéj przed całym światem najskryciéj chowaną tajemnicę tak nieroztropnie i nie w porę wyjawiła. Przeco pożegnała oziębłe swoję byłą poufnę, a po jéj oddaleniu się, wpadła w mdłości.

Może ktoś powié, iż to było bardzo nierozsądnie ze strony hrabiny, lecz trzeba wiedziéć, iż hrabina była bardzo delikatną i drażliwą, a teraz zaszła w niéj tak straszna walka, że to koniecznie przesilenie sprowadzić musiało. Dla nas, którzy znamy hrabinę, nie będzie to zdawać się rzeczą nienaturalną, iż widząc się tak niespodzianie skompromitowaną przed tym, którego szczérze kochała, wszelką straciła przytomność.

Lord Astolf przywołał pokojowe ku pomocy i rozrzewnił się mocno na widok tych mdłości, których tajnego powodu jeszcze zupełnie nie pojął.

Ila, słysząc co się stało, przybiegła szybko do matki, którą serdecznie kochała; lica jéj były łzami zalane. Zajęta jedynie swoją matką, nie powitała nawet swego przyjaciela, jakto zwykła była lorda nazywać, i dopiéro po odtrzéźwieniu matki, wynagrodziła go miłém, poufném pozdrowieniem.

»Dzień dobry, papo!« rzekła, gdy ją lord w czoło pocałował. »Nie smuć się, mamie już lepiéj.«

Lord Astolf był témi pieszczotami swéj przyszłéj wychowanki mocno wzruszony; pobladł, dreszcz go przejęła, słowa mamki wstrzęsły całą jego duszę. Młody mężczyzna, którego serce było czyste i niezepsute, drżał teraz na widok dziewczynki, odkąd się dowiedział, iż ma już lat piętnaście.

Usiadł więc milczący obok Ili na krześle; serce jego płonęło uczuciem, które miłością zowiemy, a tém uczuciem płonął dla Ili.

„Cóż ci to jest?” ozwała się dziewczynka pochlebnie, siadając mu na kolana. „Cóż ci to jest, mój przyjacielu? Wyglądasz blado, czyś chory?”

„Nie, moja kochana Ilo, nic to.”

Hrabina pojęła aż nadto jasno całe znaczenie téj sceny; ona kochała, a przeto miała o jeden zmysł więcéj, miała zmysł, za pomocą którego dają się odgadywać najskrytsze myśli tego, kogo się kocha; uczuła ona, iż czém bardziéj dotąd wiek Ili był tajony, tém większém teraz niebezpieczeństwem groziło téj tajemnicy odkrycie. W jednéj chwili maleńka jéj Ila stała się dla niéj rywalką.

»Idź do ogrodu i baw się tam;” rzekła hrabina tonem przykrym do córki.

Biedna dziewczynka wyszła, lecz widać było, iż ten niezwykły ton matki wielce ją zmartwił.

Okoliczność ta, jakkolwiek drobna, zdała się być Astolfowi oznaką złego serca hrabiny, i ostatek miłości dla niéj w nim przytłumiła. Wszelako mylił on się, gdyż to, co jemu surowością charakteru być się zdawało, było tylko zmartwieniem. Miłość u kobiét przybiéra niekiedy podobny charakter. Mężczyźni z ś nie pojmują tego uczucia, jak lord Astolf w téj chwili go nie pojął, ponieważ nie tak głęboko kochają.

„To zimna, próżna, zalotna kobiéta, która nie jest w stanie uczuć miłości!” pomyślał sobie młody lord, lecz mocno się mylił, gdyż hrabina nigdy jeszcze szczérzéj nie kochała.

Ztąd położenie obojga, jak to łatwo pomyślić sobie można, stało się wzajemnie bardzo przykrém. Lord Astolf udał wprawdzie, jakoby ciągle jeszcze był ten sam względem hrabiny, i żegnając się, przyrzekł być dziś w wieczór piérwszym na balu.

Powróciwszy do domu nie myślał o niczém, jak tylko o swojéj małéj Ili, i jakimby sposobem tę lubą dziewczynkę przywieśdź do tego, aby się sama na sobie poznała. Byłoto dla niego najsłodszém uczuciem, wyobrażać sobie, iż on piérwszy ten porany, młodociany umysł rozwinie, piérwszy ten wonny kielich kwietny roztworzy, nieznane jéj dotąd uczucie miłości w niéj rozbudzi.

Przedsięwziął on, dzisiejszego jeszcze wieczora z właściwym jéj wiekiem ją obeznać, gdyż czuł to aż zanadto, iż nie kocha już matki.

Przyszedłszy wieczorem do hrabiny, nie za matką on się téż oglądał, Ili tylko, Ili, szukały oczy jego. Festyn był bardzo świetny. Pani Dorsay zaprosiła wszystkie prawie znakomitsze osoby Londynu, i wszyscy téż składali Astolfowi życzenia z powodu jego blizkiego zamężcia.

Głównym celem zgromadzenia było, jak wiémy, rozgłoszenie związku lorda Astolfa z hrabiną; lecz lord Astolf nic prawie na składane sobie życzenia nie odpowiadał, i myślił jedynie o Ili.

Hrabina nie spuszczała go z oka; Astolf niecierpliwił się nie widząc Ili, którą co chwila z goręt-szym kochał zapałem. Wtém nadbiegła Ila, i rozsuwając wszystkich na stronę, aby ku niemu się zbliżyć mogła, zawołała:

„Wszak ze mną będziesz dziś tańczyć, przyjacielu?” — I nie czekając na odpowiedź, wzięła go pod ramię i stanęła z nim naprzeciw piérwszéj tańczącéj pary, która się jéj nawinęła.

Wszystkich oczy zwróciły się na Ilę. Każdy podziwiał ją i chwalił. Byłażbo ona istotnie tak piękną w swojéj białéj, krepowéj sukience, któréj krój pojedyńczy jeszcze miléj jéj piękny kształt ciała uwydatniał. Piękne jéj włosy spadały w zwojach na ramiona, a jéj drobne nóżki wydawały się tém ładniéj, iż miała dziewczęce spodeńki — słowem, cały jéj strój dziecięcy, który jéj matka dla zabezpieczenia się swego dała, służył jedynie do tém większego jéj upiększenia.

Hrabina byłaby się innym razem w takiéj chwili nią szczyciła, lecz teraz miała powod lękać się jéj i zazdrościć.... Tak, zazdrościć! gdyż Ila była już otwartą rywalką dla matki, a oddawane jéj pochwały bodły serce hrabiny, jakby zatrute strzały.

Przeciwnie lord Astolf był bardzo szczęśliwym, widząc ją tak zachwycającą, tak podziwianą; podziwiał on ją jeszcze goręcéj od innych, chociaż na pozór zdawał się być obojętnym.

Hrabina, co do uczuć Astolfa, nie zawiodła się w swojéj obawie, a wpatrując się przenikliwie w oboje, chciała się ostatecznie przekonać, czy już wszystko dla niéj stracone.

W jednéj z owych chwil, kiedy pani Dorsay uwagę swoję koniecznie na towarzystwo zwrócić musiała, Astolf zbliżył się do Ili, wetknął jéj ukradkiem bilecik w rękę, i szepnął:

„Przeczytaj to, ale tak, aby cię matka nie widziała.”

Te słowa wywarły elektryczne wrażenie na dziewczynę; wyszła z koła i widząc się bez świadków, wyczytała:

„Ilo, jesteś już w tym wieku, w którym możesz kochać i być kochaną. Zwodzono nas oboje. Nie jesteś już dziecięciem — masz lat piętnaście ”

Ila odczytała te słowa raz, i drugi, i trzeci. Wewnetrzny jéj niepokój wzmógł się do najwyższego stopnia; serce jéj biło, kolory twarzy mieniły się to w marmurową bladość, to w najżywszy rumieniec. Usiadła na chwilę, aby się nieco uspokoić,

gdyż myśl o powrocie na salę i ujrzeniu lorda Astolfa, mieszała ją niewymownie.

„Jakże ujdę wzroku mej matki?” rzekła sama do siebie, albowiem odgadła to instynktowo, iż matka rada jéj nie będzie. Nareszcie weszła drząca do salonu, a pierwszą osobą, którę spotkała, była właśnie ta, którą ominąć pragnęła.

Lord Astolf czekał na nią w niewysłowioném wzruszeniu. Spojrzenia ich zdybały się w pół drogi, a wzajemnym ich mimowolnym wyrazem zdało się być: kocham cię!

Hrabina dostrzegła tych spojrzeń. Odtąd wszelkie jéj usiłowania do tego zmierzały, aby temu smutnemu dla niéj dramatowi jak można najlepsze ułatwić rozwiązanie.

W kilka dni potém otrzymał lord Astolf od pani Dorsay następujący bilecik:

„Mój panie, za tydzień dam panu rękę Ili.”

Poczém biedna hrabina usunęła się nazawsze od świata i osiadła w klasztorze. Lecz wprzód kazała sobie wystawić grobowy pomnik z napisem:

»Julija hrabina Dorsay,
zmarła w 25m roku życia.”

Wyjątki z podróży p. Valon do Konstantynopola.

(Dokończenie.)

Mimo nadzwyczajnie skwapliwe ubieganie się o zagraniczne wiadomostki, nie są tu i miejscowe nowiny zaniedbane. Cały modny świat Wschodu zna się wzajemnie, a towarzystwa w Konstantynopolu, w Smyrnie, w Atenach, w Aleksandryi, można prawie za jedno towarzystwo uważać, bo chociaż się nigdy nawet nie widziano, przecież wielokrotnie słyszano i mówiono o sobie. Ci co żyją w Pera, mówią o salonach Ateńskich, jak się mówi w *Faubourg St. Germain* o towarzystwach na *Chaussée d'Antin;* i napróżno szukałby ktoś w Konstantynopolu innéj rozrywki. I tak np. w r. 1839m kazał pewien Włoch, imieniem Gaetano Mele na mocy pozwolenia Mahmuda, zbudować w Pera salę sceniczną, a najciekawszą przy tém okolicznością było, iż na liście subskrypcyjnéj po części tureckie nazwiska się znajdowały. Teatr ten jeszcze dotąd stoi, lecz bywa często z braku aktorów zamknięty. Trupa włoska, która zwyczajnie po miastach Lewanckich grywa, bawi najwięcéj w Atenach i Smyrnie, gdzie się jéj daleko lepiéj niż w Konstantynopolu powodzi.

W dzień po naszém przybyciu popłynęliśmy w jednym z owych długich kaików, które w Konstantynopolu miejsce fiakrów zastępują, do Stambułu, to jest do tureckiéj części stolicy. Przy najlżejszém przechybnięciu wywracają się te lekkie łódki, które zwykle piękni, w jedwabne koszule przyodziani Arnautowie rączémi prowadzą wiosłami. W przeciągu kilku minut mija się „Złoty róg”, i płynąc śród niezmiernego mnóstwa łodzi wszelkich kształtów i okrętów różnych narodów, i przybywa się wreszcie na miejsce wylądowania, które jeszcze niebezpieczniejszém jest od samegoż wywrotnego kaiku. Gdyż wylądowując u mniemanego brzegu, narażony jest człowiek wpaść do głębokiéj kloaki i zagrzęznąć tam aż po szyję w obrzydliwym kale, któremu lekka warstwa pyłu, pozór stałego gruntu nadaje. Ulice w Konstantynopolu są jeszcze o wiele ciaśniejsze, plugawsze i smrodliwsze niż w Gałacie i w Perze. Po obu bokach tych przesmyków, napchanych ciągle pstrą mieszaniną najróżnobarwniéj ubranéj lecz zresztą w głuchém milczeniu przesuwającéj się ludności, stoją szkaradnie zbudowane i jeszcze szkaradniéj pomalowane drewniane baraki, albo raczéj duże klatki o mnóstwie kratami opatrzonych okien, i o wielu ponad dolne mieszkania ku ulicy wysuniętych piąterkach. Za każdym krokiem usuwa się pod nogami bruk z małych w piasku ułożonych kamyków, a tak jesteśmy co chwila w niebezpieczeństwie upaść w tych ulicach, gdzie ani rynew ani kanałów niema, a każda dziura jest czarną, błotną kałużą. Wszędzie napotykasz tam kramy, zastawione stołami, na których leżą duże w dzwony porąbane ryby, które mimo nieustannego kurzu, złocistą w słońcu połyskują łuską. Żółte psy, jeszcze liczniejsze niż w Gałacie, chwytają cię co chwila za łytki, a biada temu, ktoby od tych pod szczególną opieką muzułmańskiéj pobożności zostających szkaradnych potworów chciał się zbyt szczérze opędzić. Sposób życia tych psów, których liczba, jak powiadają, 100.000 dochodzi, jest w saméj rzeczy osobliwszy. Nie są oni niczyją własnością i nie mają téż żadnego stałego przytułku. Na ulicy przychodzą one na świat, tam żyją i tam zdéchają. Czém się one żywią, trudno oznaczyć. Im to wyłącznie zostawia rząd uliczną policyję i czyszczenie ulic, a wszelkie plugawstwo lub téż ściérwo, pozostałe z zdechłych z głodu kolegów, jest ich zwyczajnym pokarmem. W nocy uganiają się one czeredami po cmentarzach. Lecz jakkolwiek smutny jest ich sposób wyżywienia się, mnożą się przecież niesłychanie. Przed kilką laty doszła ich liczba w Konstantynopolu do takiéj ilości, iż się stała bardzo niebezpieczną. Ku wielkiemu zgorszeniu starych Muzułmanów, kazał Mahmud śród innych reform, wydać rozporządzenie dotyczące się psów; nie kazał on ich wytruć, gdyż na to byłby się nie odważył, lecz deportować na wyspy morza Marmora, w liczbie 20.000. W przeciągu kilku dni zeżarły ony wszystko, co tylko się na miejscu ich wygnania znajdowało, a potém zaczęły z głodu tak przeraźliwie piszczéć i wyć żałośnie, iż serca tureckie zlitowały się nad niémi, i nazad je w tryjumfie do Konstantynopola sprowadzono. Wielkiémto szczę-

ściem, iż na Wschodzie wścieklizna jest rzeczą nieznaną; bo gdyby ta zaraza przedarła się kiedyś do kraju, gdzie psy w równéj prawie ilości a w większém są poszanowaniu niż ludzie, byłoby to większe i okropniejsze zniszczenie aniżeli od morowego powietrza.

Piérwszém miejscem, które w Stambule zazwyczaj się odwidza, są bazary; jestto ogromny labirynt, dokąd podróżnych najczęściéj bardzo rozsądny Ormianin prowadzi, nazywający się Ludowiko, i mający tytuł *parfumeur ordinaire du prince Joinville.* Za pomocą owéj niesłychanéj łatwości, z jaką Lewantczykowie obcych języków się uczą, mówi Ludowiko, równie jak większa część Greków klas nawet niższych, nie tylko wszystkiémi oryjentalnémi językami, lecz także bardzo płynnie po francuzku, po włosku, po niemiecku, i służy rzetelnie za tłumacza między krajowym kupcem a zagranicznym nabywcą. Bazary konstantynopolitańskie nie odpowiadają wcale owym wyobrażeniom zbytku i przepychu, jakie o tych targowlach Oryjentu w Europie krążą. Wszystkie tureckie bazary przedstawiają dość nędzny widok, a owe w Konstantynopolu, jeszcze najpiękniejsze ze wszystkich, przypominają w ogóle nie tyle nasze wytworne sklepy galanteryjne, ile owszem przechody komunikacyjne *halles* paryskich i podsienia w *Temple.* Jestto niezmierzony labirynt większych i mniejszych, jak tunele sklepionych kurytarzy, niezgrabnie zbudowanych a nieustannie wilgotnych. Na gęsto w poprzek porozpinanych sznurach wiszą nad głowami przechodniów świetne kobierce, złotogłowe makaty, materyje i inne drogie towary, których kosztowność przy zupełnéj nagości ścian dziwnie odbija. Komtuar składa się z drewnianego, niezbyt wysokiego podwyższenia, okrytego dywanem, na którym siedzi kupiec z zakrzyżowanémi nogami, z fajką o długim cybuchu w ustach, i spogląda w milczeniu na przechodzącego cudzoziemca, którego tylko niekiedy wołaniem »*Effendi!*« zaczepi, podczas gdy ruchliwsi, gadatliwsi Ormianie z jakimeś powabnym towarem w ręku, wkoło niego się cisną, i z wielkim krzykiem »*Signor kapitain! Signor kapitain!* za nim wołają. Rzetelność Turków przeszła już w przysłowie. W całym Konstantynopolu nie znają przykładu ani jednéj przez Mahometanina popełnionéj kradzieży, a wielu bankierów zapewniało mię, iż bez wahania przy każdéj sposobności najznaczniejsze sumy ubogim drągarzom powierzają, chociaż nawet nie wiedzą, jak oni się nazywają. Inaczéj ma się rzecz z Grekami. Pomiędzy tymi znajdziesz aż nazbyt często oszustów, gorszych od włoskich lazzaronów, a nie mając się na baczności, można w bazarach stambulskich równie łatwo mieć okradzione kieszenie, jak i na ulicach w Neapolu. Ztémwszystkiém, chociaż Turcy nie kradną, przecież nie mają oni sobie za grzech korzystać z niewiadomości cudzoziemca. Jest na to, jak mi mówiono, tylko jeden zaradczy sposób. Skoro Turek zbytnią cenę za towar swój wymieni, wtedy należy mu tylko powiedzieć: »I tyż się Boga nie boisz!« — a natychmiast zmienia on minę, i oznacza właściwą cenę towaru, a uczułby się bardzo obrażonym, gdyby mu jeszcze i wtenczas wierzyć nie chciano.

Naprzeciw zwykłéj chciwości kupców w bazarach, zdarzają się także wyjątkowe przykłady rzadkiéj bezinteresowności. Bywa czasem, iż starzy, o siwéj brodzie Muzułmanie, nieznający dokładnie ceny tego lub owego towaru, na samą poczciwość kupujących się spuszczają, zostawiając im zupełną wolność oznaczenia słusznéj ceny. Przyszedłszy do bazarów, udałem się najprzód do jakiegoś bogatego Persa, którego sklep wszelkiémi wytwornémi nowościami był suto opatrzony. Po zwyczaju, poczęstował nas najprzód fajką i kawą, a nim do kupna przystąpiliśmy, zapytał nas o nowiny z Francyi i Algeryi. Po téj niezbędnéj przedmowie zażądałem ceny jednego z owych przepysznie kolorowanych przyrządzeń do pisania, jakie, jeźli się nie mylę, koło Tiflis się fabrykują. Kupiec chciał zato 200 piastrów; ja dawałem 100. Nato dumny Pers odpowiedział spokojnie, iż nie sprzeda tego ani o grosz taniéj, lecz skoro jego towar mi się podobał, więc zrobię mu wielką przyjemność, jeźli go w darze przyjmę. Zresztą, jest w tych bazarach nadzwyczajna rozmaitość towarów, które swoją tannością do pokupu zachęcają.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 26ty i zawiéra: 1) Jak zapobiegać wyradzaniu się sandomiérki. 2) Kilka słów o Multanach (Mołdawii), napisane dla dzierzawców dóbr ziemskich; przez Józefa Poradowskiego. (Dokończenie.) 3) Jeszcze jedno lekarstwo na kolki u koni. 4) Wiadomości czasowe: Produkcyja cukru na kuli ziemskiéj. 5) Nowe odkrycie w fabrykacyi cukru z buraków. 6) Wiadomości handlowe. 7) Kandydat na posadę rządzcy.

Dziennika mod paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 13ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Parę obrazków z małego miasteczka. 2) O gramatyce J. N. Deszkiewicza. 3) Nowości literackie. 4) Teatr.

Kolegijum kardynałów, czyli »święte kolegijum«, ma się składać z 70ciu członków; lecz ta liczba nie bywa nigdy zupełną; obecnie jest 62ch kardynałów przy życiu. Niegdyś wszystkie prawie katolickie mocarstwa miały zdawna prawo polecać pewną liczbę prałatów do godności kardynalskiéj; tych nazywano kardynałami koronnymi. W skutek zaburzeń, jakie w tylu państwach kościoł katolicki dotknęły, wyszło to prawo częściowo z używania. Wszakże dotychczas jeszcze ma Francyja i Austryja przywilej mianowania niektórych kardynałów. Francuzkimi kardynałami są obecnie: arcybiskupowie z Lugdunu i Aix, i biskup z Arras; austryjackimi. patryjarcha wenecki i arcybiskupowie Medyjolański i Salcburski. Grzegorz XVI całe prawie »święte kolegijum« w przeciągu swego panowania odrowił. Z nominacyi papieża Piusa VIIIgo żyje w téj chwili tylko dwóch, z nominacyi Leona XIIgo tylko 7 kardynałów; reszta (53) żyjących obecnie kardynałów pochodzi z nominacyi Grzegorza XVIgo. Pod panowaniem tegoż papieża umarło 66 kardynałów, pomiędzy którymi było 22, mianowanych przez Grzegorza XVIgo; razem tedy mianował on w ciągu swojego 15letniego panowania 75ciu kardynałów. — Nowych biskupstw założył Grzegorz XVI we wszystkich częściach świata 40, z tych 8 w królestwie Neapolitańskiém, 1 w państwie kościelném, 1 w Belgii, 1 w Sardynii, 1 w Irlandyi, 1 w Algierze, 24 w Ameryce, 4 w Australii. Oprócz tego ustanowił Grzegorz XVI w Anglii 4 nowe apostolskie wikaryjaty, powierzone biskupom *in partibus.* Z 800 biskupów całego chrześcijaństwa mianował Grzegorz XVI przeszło 500.

Wojskowość zjednoczonych stanów północnéj Ameryki. Zjednoczone stany mają około 10.000 wojska linijowego, składającego się z ochotni-

ków, którzy dobrze są płatni i bardzo łagodnego obejścia się doznają. Zdarza się przeto nieraz, iż cudzoziemcy, nie mający środków utrzymania, do wojska się zaciągają, a po wysłużonej kapitulacyi, z złożoną sobie w tym czasie sumką, do handlu lub przemysłowości się biorą. Od tych żołnierzy zaciężnych odznacza się gwardyja obywatelska, czyli milicyja, do której każdy zdolny do broni obywatel od 15go do 40go roku, jest obowiązanym; może on sobie jednak sam wybrać korpus, w którym chce służyć. Oprócz tego tworzą się niekiedy wcale nowe korpusy, złożone z samych Niemców, Francuzów i t. p., i ztąd téż niemieckiemi, francuzkiemi nazwane. Te układają sobie same swoje statuta, oznaczają sposób mundurowania się, który najczęściej bywa bardzo ładnym, a nawet świetnym, i wybierają sobie swoich oficérów. Co roku odbywa się raz albo dwa razy popis pojedynczych korpusów, co przez pisma publiczne bywa ogłaszane. Kto się nie stawi, ten podpada karze pieniężnéj, jak to pojedyncze korpusy w statutach swych zawarowały. Co się tyczé broni ręcznéj gwardzistów, ta jest zazwyczaj bardzo nierówna, jedna o zamku z kapslami, druga ze skałką i t. d., lecz mniejsza o to, byle tylko wypaliła. Również widać także niekiedy młodych wojskowych, zwłaszcza w pierwszych dwóch latach służby, zamiast munduru w ubiorze cywilnym, zamiast bronią, laseczką spacérową się mustrujących, co oczywiście bardzo śmiesznie wygląda. W ogólności liczy gwardyja obywatelska Zjednoczonych stanów 1 milijon 200.000 żołnierzy.

W domu poprawczym w Kopenhagen siedzą obecnie pomiędzy innymi więźniami dwie dostojne osoby, jakiémi zapewne żaden inny podobny zakład poszczycić się nie może, to jest — król ze swoim ministrem, obaj z wybrzeża Gwinejskiego w Afryce. Ten 70letni król, zostający ze swojem państwem pod zwierzchnictwem korony duńskiéj, zabił był inną królewską mość, będącą pod témże samém zwiérzchnictwem. Zato gubernator duński skazał go wraz z ministrem na przepłacenie życiem za życie, lecz łaska króla duńskiego zmieniła ten wyrok śmierci na karę więzienia w domu poprawczym. »Zdaje się,« mówi pewien dziennik duński, »iż na wybrzeżu Gwinejskiem prawo narodów nie musi być w wielkiém poszanowaniu, jeżeli małemu królowi, który przytém jest poganinem, nie chcą przyznać tego, co nasze chrześcijańskie, cywilizowane państwa europejskie za niezaprzeczone sobie prawo uważają — to jest: prawa zabijania swych nieprzyjaciół.«

Fizyjonomija narodów ma, podług Lejbnica, być poniekąd podobną do źwiérząt, z jakiémi właśnie który naród miejscem swego pobytu najwięcéj jest spokrewnionym; i tak Lapończykowie mają w swéj powierzchowności mieć coś podobnego do niedźwiedzia, murzyni do małpy, Malajowie do tygrysa, Peruanie do lamy, Arabowie do wielbłąda, a Indyjczykowie wschodni do krów. Bądź co bądź, to przynajmniej niezaprzeczoną jest prawdą, iż czém niżéj człowiek pod względem oświaty stoi, tém więcéj źwiérzęcości w jego fizyjonomii się przebija.

Z czasów rzeczypospolitéj francuzkiéj pozostała w Holandyi ustawa, mocą któréj rząd obowiązanym jest siódme dziecię każdéj rodziny, swoim kosztem wychowywać, jeżli poprzednich sześcioro dzieci żyje. Niedawno temu sąd obwodowy w Amsterdamie uczynił użytek z tego prawa i zawyrokował, aby rząd królewski niejakiemu Hooglandowi corocznie 280 zł. hol. na wychowanie jego 7go dziecięcia, aż do 18go roku życia wypłacał, lub pomienione dziecię aż do tego czasu żywić i wychowywać kazał. Trybunał apelacyjny w Haag potwierdził rzeczony wyrok.

Wierzchowiec o trzech nogach. Takowy znajduje się w Anglii, w Ulverstone, w hrabstwie Westmoreland, u niejakiego p. Berton, przedsiębiercy omnibusów, i ma czwartą nogę żelazną, przyprawioną przez konowała miejscowego zamiast zdrowéj, którę roku zeszłego złamał. Najciekawszą zaś rzeczą jest, iż ten wierzchowiec dotąd za najlepszego bieguna w całéj okolicy uchodzi, jak to wszyscy tameczni mieszkańcy poświadczyć mogą. — U psów i kogutów bywały szczudła, jak wiadomo, oddawna już z najlepszym skutkiem używane.

Nowa grota w Neapolu. U przylądka Palinurskiego, nie daleko od Castello di Molpo, odkryto nową grotę, która podług doniesienia malarza Crescenzo, ma co do piękności swoich różnémi kolorami promieniących się ścian kryształowych, przechodzić nawet sławną niebieską grotę w Capri. Dotąd, oprócz kilku Anglików, żaden cudzoziemiec téj, zresztą nie bardzo malowniczéj okolicy, jeszcze nie zwidził.

Nowe stowarzyszenie dobroczynne. W Londynie zawiązało się »Stowarzyszenie ku wsparciu wszelkich chorych na piersi«. Podobnie jak wszystkie towarzystwa dobroczynności wyprawia i tenże zakład od czasu do czasu huczne bale, na których tańczy się do upadłego na korzyść chorych na piersi; jé się śród największego zgrzania lody na korzyść chorych na piersi, i nabywa się suchot — na korzyść chorych na piersi.

Człowiek i wino. Największe podobieństwo z człowiekiem ma nie małpa, jak wielu badaczów przyrody utrzymuje, lecz wino. Zaledwie dojrzeje, już je tłumią, tłoczą, nogami depcą, i wszelkiemi sposoby męczą, aż się wreszcie — wytrawi. Ale jak wzniosły umysł w przeciwnościach i srogich zapasach z ludźmi, nie psuje się lecz owszem wzmacnia, tak równie téż i wino. Nareszcie w lochu osiąga ono najwyższy stopień doskonałości, i staje się zbawienném dla ludzi. Jak każdy jenijusz, tak téż i wino jest dumne, gbura i niedołęgę z nóg zwala, wzniosłego zaś, pokrewnego sobie ducha, unosi w niebiosa i rozpłomienia go natchnieniem.

Znak honorowy. »Towarzystwo dobroczynności« (*Human Society*) w Edymburgu, zawiesiło psowi, który tonącą kobietę z wody wyciągnął, széroką srebrną obróżkę z napisem: »Towarzystwo dobroczynności w Edymburgu psowi *Bess*, własności p. Lavrence.«

Układ dobrowolny. Z Syryi donoszą, iż pewne dziecko chrześcijańskie, dostawszy się przypadkiem pomiędzy kobiety tureckie, na ich pieszczotne naleganie oświadczyło, że »nie chce wrócić nazad do swych rodziców.« Wzięto je więc natychmiast za słowo, uznano je Muzułmanem, i nie chciano go wrócić ojcu. Konzul europejski protestował przeciw téj samowolności. »Ale ponieważ dziecko jest już w tym wieku,« twierdzą wykładacze koranu, »iż może rozróżnić prawą rękę od lewéj, tedy nie można go wrócić bez naruszenia przepisów koranu.« — Na to konzul zaniósł skargę do Konstantynopola.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.